

Własnymi ścieżkami

No dobrze, zgódźmy się z Rebeccą Solnit, kiedy mówi, że „historia chodzenia, zarówno miejskiego, jak i wiejskiego, jest historią wolności, a zarazem historią definiowania tego, co sprawia przyjemność”. Tu chyba żadne lampki nie mają podstaw do zapalenia, gra wszystko elegancko jak Iga Świątek na kortach Rolanda Garrosa; wolnościowy aspekt chodzenia, na krótsze i na dłuższe dystanse, wyraża się nie tylko w ekspresji zadowolenia, lecz także w idei samostanowienia poprzez ruch, integracji w geście przemieszczania się – w pojedynkę bądź kolektywnego, w trybie wólczy lub marszu, truchtu lub snucia się noga za nogą. Ludowym mądrościom w stylu *anima sana in corpore sano* towarzyszy pełne animuszu (tudzież ledwie skrywanej ostrożności, wedle uznania) konstruowanie indywidualnej tożsamości. Tożsamości odnajdującej się w tej czy innej wspólnotcie – bo nic nie służy współodczuwaniu świata lepiej od przechadzki – lub całkiem przeciwnie, ze wspólnoty się wypisującej, i to na rzecz wspólnoty konkurencyjnej, pozostającej w opozycji do cisnących norm i zarządzeń. Albo niewypisującej się znikąd, bo z niektórymi tożsamościami to jest tak, że największą frajdę ciągnie się z bycia obok, czyli chadzania własnymi ścieżkami; akcji niby oswojonej, a w gruncie rzeczy subwersywnej jak mało która.

Jeszcze więcej racji ma zatem pomysł, że „chodzenie zawsze było zajęciem nieco podejrzanym”. To też Solnit, to też ujmowanie codziennego, zwyczajnego ruchu jako skutecznego narzędzia emancypacji – szczególnie dla tych, którzy są wypychani z innych pól społecznego funkcjonowania. Tutaj byle spacer

z psem lub jogging o świcie mogą być uznane przez dzierżących władzę nad moralnością publiczną za szlajanie się, prowokowanie nagabywań, zbijanie bąków i nadpsuwanie systemu, któremu na imię wydadność, zresztą system imion tych ma więcej i wszystkie hołubią swoje „-ości”, „-izmy” i końcóweczki zangielszczone ponad miarę. To przecież chodzenie pomogło XVIII-, XIX-wiecznym odmieńcom i odmieńczyniom, a byli nimi ci wszyscy, co mieli czelność nie kłaniać się konwenansom, wybić się na niepodległość lub choćby coś z tejże uszczknąć. Zamiast grać z góry napisane role w salonowym teatrzyku, łazili sobie po ogrodzie, przedkładając nagle skoki w chaszczory i wałęsanie się po opłotkach nad grzeczne i cokolwiek hieratyczne poruszanie się zgodnie z kierunkiem alejek.

I jeszcze więcej racji, gdy mowa o rewolucji. To już nie tylko Solnit z „chodzoną” historią feminizmu, lecz również cała masa małych i dużych klirów z osiedli, którzy z włożenia tam, gdzie nie pozwalają ani rodzice, ani nauczyciele, ani wścibscy sąsiedzi, robią sobie prywatną metodę działania; owszem, trzeba było po drodze uśmiercić paru metropolitalnych flâneurów, którzy roztoczywszy uroki włóczęgi, rościli sobie prawa do trzepania grubej kasiory, wszystkich panów Sommerów z powieści Süskinda maszerujących w kółko do imentu, wszystkich Walserowskich przechodniów kręcących się po ślepych zaułkach jak chomiki na karuzelce, wszystkich Konradów Jurkowskich szwendających się po dzielni z uśmieszkiem tego, który wie, i wszystkich Wąsików tego świata na nieustannym spacerze z radyjkiem nadającym jeden *Agrobiznes* za drugim. Starczy już tych wypomadowanych myślicieli wędrujących po górach z laseczką, panów utrwalających swoją władzę korzystaniem z upoconych tragarzy, wrażliwych samotników na niezobowiązującej wycieczce, co spozierają w obłoki z rękami założonymi z tyłu w geście niby to skromnisia, a w istocie dominatora; taki wolałby umrzeć, niż zrobić parę kilometrów po osiedlu, zemdlalby niechybnie w kontakcie ze skwerkiem między blokami, po czym uciekł w popłochu na myśl o dziurze w chodniku.

Wszystkie kliry tego świata wolą snuć się po najbliższej okolicy, bo przeczuwają, że liczy się konkret, a nawet jeśli trochę zabalują i to, co pod nosem, okaże swoją dziką naturę, to tym lepiej. Taki rodzaj łączki bodźcuje chyba najmniej pretensjonalnie; jak deklaruje podmiocie z wiersza Anouk(a) Herman(a), „jeśli kiedyś zaginę / pamiętaj że nie uciekłem / żeby szukać fajniejszych osiedli / i lepszych mysich truchelek [...]”. Każde osiedle gwarantuje co najmniej jakiś punkt odniesienia. Wprawdzie „chłopaki z klatki 40a” i ci panowie, co „kupują w kioskach tanie lizaki”,

mogą zasadzać się na twoją pewność siebie, ale na dłuższą metę odpadają w przedbiegach, ścieżki im się tak szybko i niekorzystnie rozwidlają, że wolą wrócić w upatrzone pozycje, niż udać się w jakiegokolwiek nieznanne. Bo nieznanne i znane sąsiadują tak blisko, że bliżej nie da rady, sąsiadują jak przez starą dyktę, jak przez lichey parawanik; to jak u Lyncha, jak u Lucrecii Martel, jak u braci Quay, w drugim pokoju inny świat, w trawie ucho, a po biurze drepcę lama, ktoś jest kimś, a potem kimś zupełnie innym, coś jest czymś, czym być nie powinno, no ale przecież jakoś to się kręci.

Dobrze zdaje sobie sprawę z tego Bromba, która nie dość, że cały czas kursuje tam i z powrotem, to raczej nie jest zbyt wyławna i wiele o niej nie wiadomo. Jest cała różowa, może nie tak intensywnie jak kartki tomiku Anouk(a) Herman(a), no ale co róż, to róż; nosi ponadto zielonkawą chustę na głowie i ma na ramieniu ciężką torbę z przyborami do mierzenia i ważenia. Chociaż z profilu bliżej jej do Dantego, to mawiają o niej per „koleżanka”, czasem powiedzą „zwierzątko” czy, może nawet częściej, „stworzonko”. Niemniej, jak zaświadcniają eksperci, „historia Bromby należy do historii zawikłanych, pełnych zaskakujących niespodzianek i komplikacji, jednym słowem przypomina samą Brombę”. Bezspornie nie da się Bromby przyszpilić, zamknąć w tej czy innej szufladce, dostarczyć wygodnej definicyjki; co to, to nie. Tym, co dość mają niedopowiedzeń i chcieliby czegoś prostszego w obsłudze, nie przyjdzie w sukurs nawet autoidentyfikacja Bromby; zajęta prowadzeniem pomiarów napotkanych przechodniów, z rzadka mówi o sobie, woląc skupiać się na szczegółach technicznych termometrów i wag. Jeśli już, to zaśpiewa znienacka: „Już tyle lat wędruję i / przebyłam tyle drózek, / ale brakuje miary mi: / jak zmierzyć me podróże? [...]”. Ech, te wewnętrzne sprzeczności, cóż, nie można mieć wszystkiego. Koniec końców im chętniej się człowiek (niechby i stworzonko) przemieszcza, tym czasu więcej pozostaje na rozmyślanie. Nie to, że od razu dogonimy w tym względzie Fikandra z Malwinką, ale i tak dojdziemy to tego samego wniosku co Heidegger o Nietzsche: „wymyślił wszystko i zaprzeczenie tego wszystkiego” – czy jakoś w ten deseń.

Bo dochodzi do tego brombiasta natura Bromby. Z jednej strony unika presji mocnego podmiotu, z drugiej mocnej podmiotce też raczej odmawia; chciałaby jakoś zmanifestować swoje ja, po czym rezygnuje i znika jak kamfora. Pasjonuje ją szczegół, ale u innych. Sama woli uchodzić za rozmazaną, rozmytą, niemożliwą do uchwycenia. Prędkiej zobaczycie ją majaczącą na horyzoncie niż stojącą tuż-tuż, mimo że zawsze zjawia się w mgnieniu oka, by uraczyć was swoją opowieścią z tras. Chodzenie ma dla Bromby sens wykraczający poza pragmatyczne przywiązanie do misji;

tu raczej zbacza się z utartych szlaków i wyszukuje rozwiązań radykalnych. To nie kto inny jak Bromba upomniał się o uniwersalny przyrząd do mierzenia i ważenia wszystkiego. Trudno przypuszczać, że ktokolwiek mógł wpaść na tak przelomowy pomysł, wysiadując długie godziny w biurze. Tu trzeba mieć sporo w nogach, sporo trzeba zobaczyć wokół, sporo usłyszeć i przetrwać na rozstajach dróg, by wznieść się ponad nudę tego świata.

Czy jednak wszystkie Bromby, bo, chciałbym to wyraźnie zaznaczyć, Bromby występują w różnych środowiskach i w różnych środowiskach znane są z chadzania własnymi ścieżkami, zatem czy Bromby czują przyjemność, korzystają w podobnej mierze z wolności, stanowią o sobie samych z równym powodzeniem? Jedni mówią, że „Bromba jest nieustępliwa w byciu Brombą”. I mają rację. Inni, że nadal powtarza zdanie: „warto być poszukiwaczem, nawet jeśli odnajduje się same sprzeczności”. Ci też mają rację, bo racji od groma. No więc chodzi się, żeby poszukiwać nowego, ale i po to, żeby porozumieć się ze starym. Czego nie rozumiesz?

Jak pisze Andrzej Woźniak, „tymczasem za drugą bramką dziewczynki oraz małe kliry / z dzikim wrzaskiem toczyły ze śniegu wielkie słońce”.